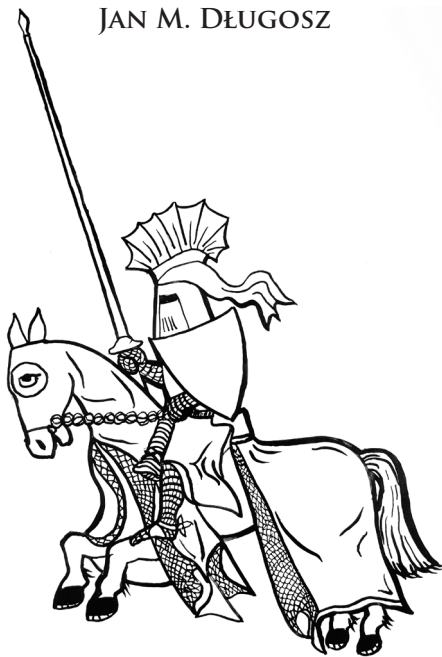


JAN M. DŁUGOSZ



R•O•D•E•R•Y•K



JAN M. DŁUGOSZ

R•O•D•E•R•Y•K
OPOWIEŚĆ O BŁĘDNYM RYCERZU

TETRAGON

WARSZAWA

Redakcja i korekta:

Halina Zalewska

Projekt graficzny okładki:

Teresa Oleszczuk

Projekt graficzny:

Teresa Oleszczuk

Rysunki:

Tomasz Pawlak

DTP:

Wanda Zawadzka, Tadeusz Zawadzki

Copyright © 2020 by Jan M. Długosz

Copyright © 2020 by Tetragon sp. z o.o.

Na okładce: Henryk I książę Anhalt, miniatura z Codex Manesse
(<https://digi.ub.uni-heidelberg.de/diglit/cpg848>)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydawnictwo Tetragon Sp. z o.o.

kontakt@tetragon.com.pl

www.tetragon.com.pl

Druk i oprawa:

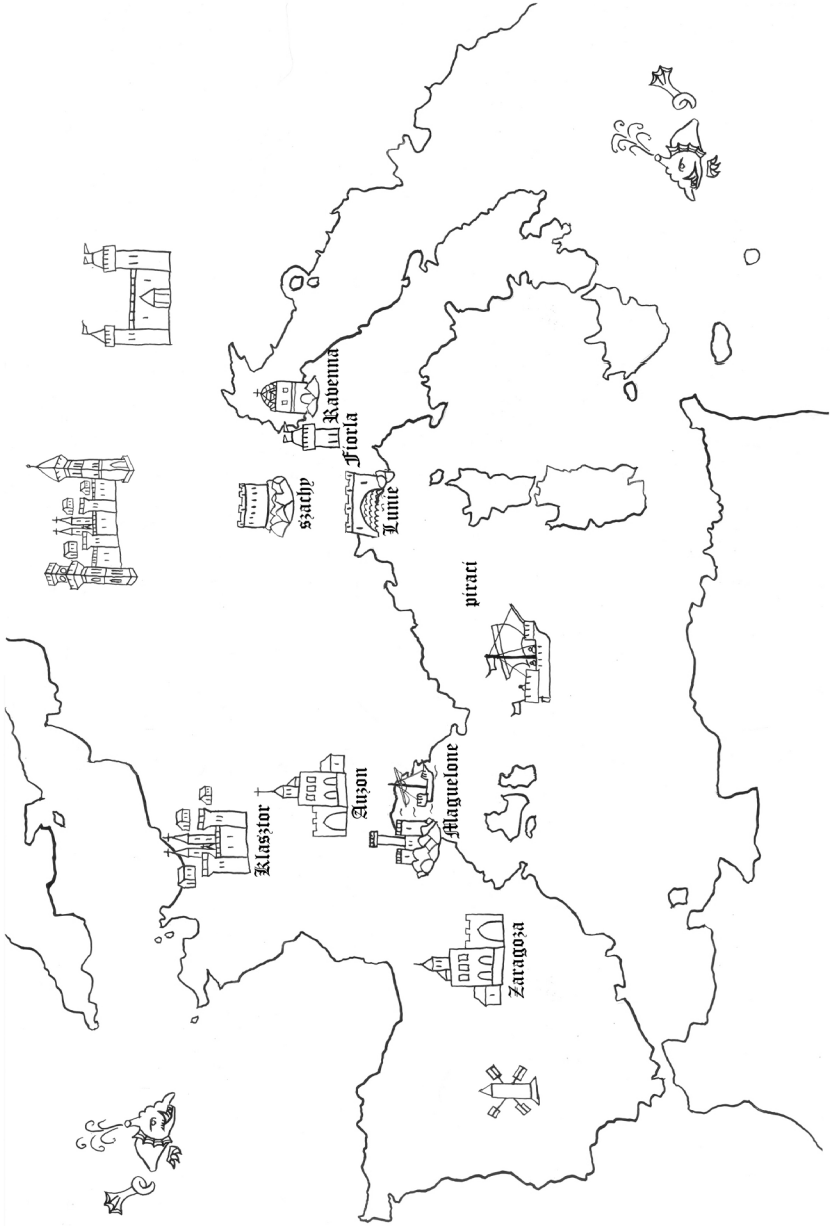
Print Group Sp. z o.o.

booksfactory.pl

ISBN 978-83-66687-03-5

Opowieści o przygodach rycerza Roderyka

część pierwsza (choć w zasadzie druga)





to opowieść o przygodach rycerza Roderyka, męża wielce dzielnego i roztropnego, który świat przemierzał, by słabych bronić, skrzywdzonych wspomagać i służyć damom w potrzebie.

W dniach, kiedy rozpoczyna się nasza opowieść, rycerz Roderyk był już mężem co najmniej dojrzałym, figury dość tęgiej, ale nie brzuchatej. Głowy osadzonej na potężnym karku nie nosił wysoko, spoglądał raczej spode łba niż z wyższością, choć zmrużone oczy zwykle patrzyły na świat życzliwie. Inaczej niż wielcy panowie tamtych czasów, włosy miał krótkie, na czubku głowy wytarte od filcowej czapeczki zakładanej pod żelazny hełm. Ruda broda zakrywała mu połowę twarzy. Plecy Roderyk miał szerokie, ramiona silne jak u niedźwiedzia, a nogi grube i mocne. Podróżując, nawet w najgorętsze dni nie zdejmował kolczej koszuli, która jest, jak wiadomo, również niezawodnym środkiem przeciw nieczystości, a na nią zakładał skórzany albo lniany kaftan. Na hełmie nie miał klejnotu, a tarczę z mocno potrząskaną blachą malował zawsze na biało. Białosiwym jak mleko był jego najwierniejszy towarzysz, większy nieco od zwykłego destriera bojowy ogier, zwany z przyczyn, których na razie nie wyjaśnimy, Peloponidesem.

Swoje prawdziwe imię Roderyk skrywał, chcąc by same tylko czyny za nim świadczyły. Może miał też i inne powody, by zataić swój ród i pochodzenie, ale skoro sam tak zdecydował, uszanujmy ukryte dla nas racje, opisując to tylko, co każdy sam na własne oczy mógł zobaczyć.

Już się zapewne Najszlachetniejszy Czytelniku zdążyłeś zorientować, że rycerz Roderyk, choć w niczym nie przypominał wychudzonego wa-

riata, był rycerzem błędnym. Różnił się jednak od innych członków swej fratрии. Pamiętając bowiem, że spośród grzechów głównych pierwszym jest pycha, mało sobie cenił sławę, dla której przecież niejednen młodzieniec ryzykował nie tylko zdrowie, ale nawet i nieśmiertelną duszę. A ponieważ z wiekiem przybywa nie tylko brzucha, ale i rozumu, Roderyk jako człek doświadczony nad przychylność pięknych dam, ten powód wzajemnych gniewów, waśni i tysięcy pojedynków, przedkładał pasztety, dziczyznę, stare wina, ciemne piwo i mocne miody, szczególnie pite w dobrym towarzystwie. Nie pomyśl jednak, drogi Czytelniku, że rycerz należał do tych, co to wojują głównie po karczmach, opowiadając niestworzone historie. Bo Roderyk, choć zwady sam nie szukał, to przymuszony nigdy nie odmawiał, nikomu nie lubił być dłużny, i zwykle tak się zdarzało, że ten, co pierwszy z nim zaczynał, to i pierwszy kończył.

W wigilię św. Jana, w dzień słoneczny, ale jeszcze nie bardzo upalny, jechał nasz bohater przez zielony las, ciesząc się szumem wysokich drzew, śpiewem ptaków i chłodnym cieniem. A ponieważ był tego dnia szczególnie wesół, podśpiewywał rozmaite piosenki, czyniąc swym głosem wielki despekt cechowi bardów i trubadurów. Jeśli coś mogło mu zepsuć nastrój, to tylko myśl, że koło południa zacznie mu, jak wiedział z doświadczenia, burczeć w brzuchu. Miał rycerz co prawda w sakwie nieco sera i chleba, i jeszcze wodę w bukłaku, ale jako człowiek roztropny wołał nie naruszać żelaznej rezerwy, a że nie był to piątek, zaczął się rozglądać za czymś bardziej treściwym.

I nie czekał długo. Zaraz za zakrętem wyjechał wprost na pięknego koziołka, który, strwożony, stał przez chwilę jak wryty, by puścić się nagle do ucieczki przez szeroką polanę. Roderyk, myśliwy doświadczony i coraz bardziej głodny, nie zamierzał utracić obiadu. Ścisnął więc kolanami boki Peloponidesa, zrywając go do galopu, a sam przechylił się w siodle sięgając po łuk. Niedługo to trwało, kiedy pierwsza strzała ze świstem pomknęła w stronę skaczącego przez polanę koziołka, ale rycerz chybił. Roderyk, pędzący na końskim grzbiecie w stronę ściany gęstego boru, znalazł jeszcze czas, by unieść brwi ze zdziwienia. Znał co prawda wielu lepszych od siebie strzelców, ale łukiem posługiwał się dość biegle, by z kilkudziesięciu kroków ustrzelić niemałego przecież zwierza. Nałożył na cięgiwę drugą strzałę i wypuścił ją w pełnym biegu – i znów chybił, bo koziołek, jakby

ostrzeżony, uskoczył w bok, by za chwilę wpaść w las. Roderyk nie miał w zwyczaju łatwo się poddawać. Wciąż trzymając łuczysko, chwycił wodze i poprowadził wierzchowca pomiędzy drzewa. I tak ganił się Roderyk z koziołkiem przez dobre trzy pacierze, ale rycerz już ani razu nie złożył się do strzału. I kiedy wreszcie postanowił dać spokój zwierzowi, zorientował się, że w myśliwskim zapale zagalopował się nieco za daleko.

Był to już inny las, gęsty i ciemny. Taki, od którego zwykły wędrowiec trzyma się z daleka, a i rycerz, choć mało bojący, odczuwał w tym miejscu dziwny niepokój. Kierując się zatem słońcem i zostawionymi przez siebie śladami, zaczął Roderyk wracać tam, skąd przybył. I już wydawało mu się, że za chwilę trafi znów na gościniec, kiedy usłyszał jakiś dźwięk, przejmujący i tak pełen żalu, że ścisnęło się jego dobre serce. Ruszył więc powoli tam, skąd, jak mu się zdawało, dobiegał ów głos żałosny, przepęnliony rozpaczą. I wyjechał na niewielką polanę, gdzie pod rozłożystym dębem ktoś dobry ze sto lat temu postawił kapliczkę świętego Krzysztofa.

Ujrzał tam Roderyk młodą dziewczynę w zielonej sukni, której ciałem wstrząsał płacz, cichnący już, ale przez to wcale nie mniej smutny, jakby już pozbawiony nadziei, że święty zanieść może do tronu Pańskiego jej prośbę. Roderyk, zawsze niezbyt śmiały wobec niewiast, nie bardzo wiedział, co zrobić, czy uszanować miejsce i życzenie panny, która najwyraźniej szukała pociechy w samotnej modlitwie, czy raczej od razu ofiarować jej swe służby. Obawiał się przy tym, by jego wygląd dziki nie wystraszył modlącej się dziewczynki, bo po prawdzie zdarzało się nieraz, że i zbój na drodze pod jego spojrzeniem zaczynał udawać, że trzymana w brudnej łapie nabijana krzemieniami pała to kostur pielgrzymi. Zanim rozstrzygnął ten dylemat, wielki wierzchowiec nastąpił na suchą gałąź, a rycerz ujrzał, że panna, rudowłosa i bardzo nadobna, nie wstając nawet, zawinęła się na kolanach jak w tańcu i chwyciła jesionowy łuk wyrobiony wedle walijskiego wzoru, tylko rzecz jasna krótszy. I zanim Roderyk zdążył powiedzieć słowo, śmignęła strzała pierzasta i wbiła się z hukiem w pień sosny tuż nad jego głową. Uznał zatem rycerz, że roztropniej będzie się nie ruszać. Zastygł więc niczym żona Lota, zastanawiając się, czy piękna łuczniczka daruje mu życie, czy też następny pocisk wyśle prosto w serce. I tak stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem, panna groźnie, a rycerz dość jak na niego przyjaźnie, bo panna, wyraźnie nie z tych, co

mdleją z przestrachu, od pierwszego spojrzenia bardzo mu się spodobała. I zawstydziła się panna, choć trzymała broń w rękach, a jej blade liczko zaczęło się czerwienić. I naśladując tych wodzów, co to gdy przegrywa- ją, zamiast brać nogi za pas, rzucają się naprzód, wciąż trzymając napięty łuk rzekła:

– Kim jesteś, człowieku, by podchodzić do mnie podstępem w lasach mego ojca? Jeśli masz złe zamiary, wiedz, że nie chybiam, a kiedy zadnę w róg, z zamku wypadnie dwudziestu ludzi ku pomocy.

– Wybacz, piękna panno – odpowiedział rycerz, wciąż nieruchomy jak głąz – że tak nagle przerwałem twoją modlitwę. Jestem rycerzem pasowa- nym, i daję słowo, że nigdy żadnej białogłowie, pannie, wdowie ani też mę- żatce w niczym nie uchybiłem, chyba że nieświadomie. Zbłądziłem w tych lasach goniąc za zwierzyną, a pod kapliczkę przywiódł mnie twój płacz.

Tu panna popuściła nieco cięciwę, choć żelazny grot dalej groźnie za- glądał rycerzowi w oczy.

– Daruj mi, dobry panie, tę strzałę zbyt pochopnie wypuszczoną. Widać, że nie w ciebie była ona wymierzona – powiedziała panna. – Lecz chciałabym poznać twe imię, bo herbu na tarczy nie mogę stąd dostrzec.

Rycerz, nieco uspokojony, odetchnął głębiej i puścił swobodnie wo- dze. Koń, jakby czytając w jego myślach, pochylił głowę i zaczął spokoj- nie skubać słodką koniczynę.

– Nic ci ode mnie, Panno Nadobna, nie grozi. Jam jest Roderyk, znany tu i ówdzie pod różnymi przydomkami. Za herb służą mi ślady ra- zów, które odbiłem tarczą, bo tak ślubowałem. Pozwól mi raczej spytać – ciągnął rycerz, zsiadając z konia – czy mogę uczynić cokolwiek, by ulżyć twym smutkom?

Tu panna, gdy myśli powróciły do trapiącego ją nieszczęścia, wypu- ściła łuk i zakryła twarz, a z jej oczu zielonych znów popłynęły łzy.

– Wybacz mi dobry panie, ale nie wiem, czy jest na tym świecie ktoś, kto zdołałby mi pomóc. Przyszła na mnie noc najczarniejsza i znikąd po- mocy spodziewać się nie mogę.

Rycerz popatrzył smutno na figurę świętego Krzysztofa i tak się ode- zwał:

– Wiem ja dobrze, że nie ma takiej toni, z której nie wydobyłby się człowiek, jeśli Bóg mu dopomoże, a niezbadane są Jego wyroki. Wiem

też, piękna panno, że warto podzielić się smutkiem z drugim człowiekiem, bo wtedy najcięższe nawet brzemie wydaje nam się nieco lżejsze do niesienia.

Panna otarła oczy i powiedziała:

– Przemawia przez ciebie mądrość, dobry panie. Posłuchaj zatem o moich strapieniach i sam oceń, czy słusznie wylewam łzy.

Opowieść Panny Nadobnej

Niedaleko miasta Auzon, przez które prowadzi dobra droga, często wybierana przez kupców jadących w stronę Pirenejów, płynie rzeka Allier, zwykle leniwa, ale wcale nie taka łatwa do przebycia, jak mogłoby się zdawać. Niespełna pół mili od miasta, tam gdzie Allier rozlewa się szerzej i zwalnia biegu, jest bród. Miejsce to upatrzył sobie zły rycerz Makrynus i źródłem utrzymania uczynił myto pobierane od podróżnych przekraczających rzekę, choć jako żywo nie miał do tego żadnego prawa. A że Makrynus był chciwy, co często chodzi w parze z okrucieństwem, myto, choć i tak ciężkie, zamienił z czasem w rabunki i mordy, podnosząc świętokradczą rękę nie tylko na kupców i podróżnych, ale nawet na księży, zakonników i pobożnych pielgrzymów. Makrynus posiadał nieopodal mały, ale obronny zameczek, z solidnym kamiennym murem i wyniosłą wieżą, gdzie trzymał co znaczniejszych jeńców i zrabowane skarby, kpił więc sobie w żywe oczy z ludzkiej i boskiej sprawiedliwości. Jeśli jakiś możny pan, zmęczony skargami poddanych albo i stratny na obłupionej karawanie, wyruszał przeciw niemu, Makrynus, śliski jak wąż, ale wybornie znający wojenne rzemiosło, zapadał w lasy albo zamykał się w swej fortecy, skąd patrzył z wysoka na próżne wysiłki oblegających. Pomagał sobie w podobnych opresjach, jak mówiono, również zrabowanym złotem.

Miał zły rycerz syna, powitego przez młodą żonę, zmarłą zaraz w pologu. Ponoć nie było w całym hrabstwie nadobniejszej od niej niewiasty, a Makrynus, zanim jego serce szczeriało do cna, kochał ją miłością wielką, szczerą i dworną. Syn ten, któremu na chrzcie dano na imię Robert, w niczym nie przypominał swojego ojca. Nie dość że piękny (tu rycerz zauważył, jak na poblądłe liczko nadobnej panny wypłynął rumieniec), to jeszcze pełen rycerskich i chrześcijańskich cnót. Odważny w boju, słow-

ny, skromny i miłosierny, nigdy chyba nie zgrzeszył przeciw boskim przykazaniom. Swoją prawość i wielką słodycz musiał odziedziczyć po pani matce, bo trudno uwierzyć, by coś dobrego poza przyrodzoną zdolnością do władania orężem mogło pochodzić z krwi Makrynusa. A Robert, choć okazywał ojcu synowską miłość i przywiązanie, wcale nie pochwałał jego postępków, starał się hamować jego okrucieństwo i jeśli tylko zdołał, próbował ulżyć niewinnym ofiarom. Makrynus ze swej strony, chyba przez pamięć ukochanej żony, cierpliwie znosił synowskie słowa przygany, za które kogoś innego niechybnie pozbawiłby życia.

I zdarzyło się pewnego razu, że wracając z nieudanej rejsy, rozeźlony Makrynus napotkał na drodze pielgrzyma zmierzającego w stronę Composteli. Człowiek ten, zamiast poddać się woli Nieba, nieroztropnie zaczął oganiać się dębowym kosturem, czym wzbudził wesołość złych towarzyszy Makrynusa. Na swoje nieszczęście końcem kija zahaczył konia, a Makrynus w odpowiedzi wepchnął mu między żebra grot kopii. Nie po raz pierwszy popełnił taką zbrodnię, a każda dotąd uchodziła mu płazem, nie przejął się zatem wcale przekleństwem rzuconym na jego głowę przez konającego pątnika.

Od tego dnia jednak coś zmieniło się w podłym życiu Makrynusa. Jakby zhora jakaś usiadła mu na piersi, nie dając ani na chwilę zapomnieć o tej i o poprzednich zbrodniach. Zły rycerz poczuł wreszcie, że jego uczynki zawiodą go niebawem w ogień piekielne. I nieustraszony dotąd Makrynus po raz pierwszy przeraził się sądu, jaki bez wątpienia każdego czeka. Szukając dla siebie jakiejś nadziei, kazał sprowadzić do zamku pobożnego mnicha, bo w warowni już od lat nie było kapelana, a w zamkowej kaplicy trzymano łupy zrabowane. Ale żaden świątobliwy mąż nie odważył się tam przybyć, a przed sługami Makrynusa zatraskiwały się mocne bramy wszystkich okolicznych opactw i eremów. Porzucił więc zły rycerz pychę i udał się do sławnego klasztoru, gdzie przez trzy dni w pokorze, sam, bez świty, oczekiwał przed bramą łaski spowiedzi, której mu wreszcie udzielono. I choć w życiu dokonał wielu podłych czynów, wracał do zamku nie bez nadziei na odkupienie swoich grzechów, bo Pan nasz w swej mądrości jest miłosierny. Zanim jednak zdołał rozpocząć zadaną mu pokutę, na gościńcu, na którym sam tyle razy napadał, spotkało go przeznaczenie. Rycerz jakiś z czterema najemnikami czekał na niego

w zasadzce, i choć Makrynus, tak biegły w sztuce wojennej, dwóch zabił, a resztę odpędził, to jednak odniósł ranę tak głęboką, że nie było dla niego nadziei na wyzdrowienie.

Przybywszy do zamku, wezwał do swojej komnaty Roberta i ze łzami w oczach wyjawiał, jaką pokutę muznaczono. Miał Makrynus udać się do kraju pogańskiego i nie wcześniej wrócić, zanim nie uratuje życia dziesięciu pielgrzymom. Lecz śmiertelna rana odebrała mu nadzieję na odkupienie popełnionych grzechów, i zdawało się, że nic go już nie uchroni przed potępieniem. Robert, dobry syn i rycerz, ślubował umierającemu ojcu wypełnić jego pokutę i w ten sposób wybawić go od piekielnych ognii.

W dzień po śmierci Makrynusa, pochowawszy ojca z najlepszym staraniem, wyruszył Robert za Pireneje, gdzie, jak myślał, w kraju opanowanym przez pogan najłatwiej mu będzie wypełnić nałożoną na ojca pokutę. Pozostawił na miejscu stryja jako zarządcę zamku i ziem, nakazując mu rozpuścić drużynę, zaprzestać zbójckiego procederu i w miarę możliwości naprawić wyrządzone szkody, nie żałując zdobytego tak podle majątku. A ruszając do nieprzyjacielskiego kraju, znalazł jeszcze Robert chwilę, by zapewnić wybrankę serca o stałości swych uczuć i obiecać jak najrychlejszy powrót. A trzeba ci wiedzieć, dobry panie, że miłość swoją oboje trzymali w tajemnicy przed światem z powodu wzajemnej nienawiści ich ojców.

Tu panna przerwała opowiadanie i załała się znów łzami, a rycerz już wiedział, kim jest ukochana dzielnego Roberta i za kim rozpacza. Po chwili panna podjęła znów swoją historię.

– Przez dwa smutne lata nie było od rycerza Roberta żadnej wiadomości. Ta, która go kochała, z utęsknieniem wypatrywała jego powrotu. Ale nie wszystkich smuciła nieobecność nowego pana. Stryj Roberta, człowiek niemal tak przewrotny i okrutny jak Makrynus, lecz nieposiadający jego odwagi, przyzwyczajając się zaczął do myśli, że Robert nie powróci z wyprawy, a on sam zwoła dawnych kamratów Makrynusa i zacznie rabować koło brodu na rzece Allier. Stryj jednak, znając siłę ramienia bratanka, nie miał śmiałości przeciwstawić się jego woli, póki nie zdobył pewności, że Robert poległ w dalekim kraju. I życzył mu stryj w swym czarnym, tchórzliwym sercu nagłej i niechybnej śmierci.

– Lecz, mój dobry panie – panna zwróciła się wprost do rycerza – dzielnemu Robertowi wojna zgotowała los bardziej okrutny niż zgon

w bitwie. Nie dalej jak wczoraj do zamku przybył posłaniec, kupiec żydowski, opłacony sowicie, bo nie jest to rzecz tania, który zobowiązał się dostarczyć list do rąk stryja Roberta. Jeśli myślał, że dobrze go tam przyjmą, zawiódł się srogo. Nie zdążył bowiem dobrze zsiąść z mulicy, służącej mu za wierzchowca, a już posypały się w jego stronę żelazne bełty, a służba spuściła groźne psy. I gdyby nie było mnie w pobliżu – tu panna ścisnęła mocniej łuczysko – zginąłby niechybnie. Kupiec, wdzięczny za uratowanie życia, opowiedział mi, z czym przybywa, i zostawił list.

Tu panna sięgnęła do ozdobnej torby wiszącej przy pasku i wyjęła zwitek pergaminu ze złamaną pieczęcią. A Roderyk, choć pewnie mało kto by się tego po rycerzu spodziewał, czytać się nauczył, i to wcale biegle. Wziął więc list, napisany, jak się szybko zorientował, dość podłą łaciną, i zaczął głośno czytać, co następuje:

Ja, Hassan, kupiec z wielkiego miasta Zaragoza, do rodziny rycerza Roberta.

Wiedźcie, nieszczęśni, że rycerz Robert z Czarnego Zamku jest w mojej mocy, zakuty w mocne kajdany i trzymany pod strażą. Choć uparty w błędnym zabobonie odmawia przyjęcia prawdziwej wiary, to jednak powodowany miłosierdziem postanowiłem zwrócić go rodzinie za sumę trzystu bizantów. Do tego doliczyć należy jeszcze czterdzieści bizantów, które wypłacić muszę dziewięciu żonom i dwudziestu trojgu dzieciom czterech jeźdźców, których rycerz Robert w swej niepohamowanej pysze tak poszczerbił, że żaden z nich nie dosiądzie już nigdy konia. Okup ten należy złożyć na ręce kupca Izaaka z Toledo najdalej w osiem niedziel od dnia, w którym doręczono list. W przeciwnym razie rycerz Robert dokona dni swoich jako niewolnik, ryjąc tunele w kopalni srebra.

Jak dobry rycerz Roderyk postanowił uwolnić cnego Roberta z niewoli

Skrzywił się rycerz, bo suma wydała mu się ogromna, ale szybko się pomiarkował, bo piękna panna patrzyła na niego z nadzieją, szukając w jego oczach pocieszenia. Zwinął więc pismo, wsunął za pas i rzekł do panny tak:

– Sprawa nie będzie łatwa, bo drogo wycenił wolność waszego Roberta ten podły handlarz. Poznałem ja dobrze kilku takich i wiem, że ludzie są z nich twardzi i nieużyci. Ale płakać nie ma co, bo dopóki ten Hassan, oby go psy pokąsały jak ich fałszywego proroka, ma nadzieję dostać pieniądze, waszemu Robertowi włos z głowy nie spadnie.

Tu Roderyk wznosił oczy do nieba, bo nie całą prawdę pannie powiedział, ale pomyślał, że dość łez już dziś wylano z powodu dzielnego młodzieńca.

A panna w lot pojęła, że Roderyk powziął zamiar, by dopomóc w uwolnieniu cnego Roberta i chciała ucałować dłonie rycerza, ten jednak cofnął się o krok, bo, jak powiedzieliśmy, nie był zbyt śmiały wobec niewiast, a i jego ręce, stwardniałe od noszenia żelaznych mac, nie bardzo się nadawały do całowania.

– Jeszcze mi panno nie dziękuj. Powiedz mi raczej dwie rzeczy. Gdzie znajdę ów słynny Czarny Zamek, bo chciałbym go sobie dokładnie obejrzeć. A co ważniejsze, czy posłaniec, który przybył z listem, uciekł już daleko po gorącym przyjęciu, jakiego tu zaznał, czy może da się go jeszcze gdzieś odnaleźć.

I tu panna odzyskała najwyraźniej tego ducha, który kazał jej wysłać szybką strzałę w stronę Roderyka. Wyprostowała plecy, podniosła dumnie piękną twarz, co bardzo się spodobało rycerzowi, i trzymając w lewej ręce łuczysko, wskazała nim na południe:

– Tędy, dobry panie, dojedziecie na gościniec, który zaprowadzi was w mniej niż dwie godziny do brodu, skąd już będziecie mogli dostrzec wieżę kościoła, co wznosi się na rynku miasta Auzon. Od rynku odchodzi ulica żydowska, każdy wam ją wskaże, a przy niej stoi tylko jeden przyzwoity dom, mieszka w nim kupiec Samuel. Tam z pewnością zatrzymał się Izaak, bo obiecał zaczekać tydzień lub dwa, nie tracąc nadziei, że uda się zebrać złoto na wykupienie z niewoli dobrego Roberta. Z tego samego gościńca, w miejscu, z którego widać kościelną wieżę, skręcicie panie rycerzu w lewo, na ścieżkę wąską i niebezpieczną, pnącą się w górę, zrazu łagodną, później coraz bardziej stromą i kamienistą. Tam, gdzie las zacznie się przerzedzać, ujrzysz panie zamek Makrynusa, dziś rządzony przez jego podłego brata. Ale uważaj proszę, bo na murach zawsze stoją kusznicy, a załoga, widząc cię samego, z pewnością wypadnie na ciebie z bronią.

Roderyk podziękował pannie za radę, obiecał stawić się w południe dnia następnego przy kaplicy i ruszył w drogę, posilając się ostatnimi kawałkami sera i chleba.

Droga, jaką musiał przebyć do zamku, okazała się rzeczywiście dość uciążliwa, ale ani szlachetny wierzchowiec, ani rycerz nie bali się trudów. Zbliżywszy się ostrożnie do granicy boru, obejrzał sobie Roderyk okryty złą sławą zamek Makrynusa. Wprawnym okiem ocenił, że budowniczy wznosił go na skale, stawiając ściany z łamanego jasnego kamienia. Mury forteczki ciągnęły się zgodnie z linią, jaką wyznaczał twardy fundament. Miała ona kształt mniej więcej trójkątny, z trzema okrągłymi wieżami, a od strony, gdzie wymurowano silną bramę zwieńczoną machikułem, wykopano fosę, rzecz jasna bez wody, a przejść ją można było jedynie przez zwodzony most, w tej chwili podniesiony. Skrzywił się rycerz na ten widok, bo miejsce nie spodobało mu się wcale. Zamek, choć niewielki, zbudowany został przez biegłego mistrza. Nie strzegł też, jak rozumiał rycerz, żadnego przejścia, ni brodu, ni doliny. Nic dobrego z tego zamku, pomyślał Roderyk, tylko gniazdo zbójckie. Cicho jak duch zawinął się rycerz i nim zaszło słońce, stanął na rynku miasta Auzon, gdzie w kościele pomodlił się chwilę, prosząc Pana o przychyłność w przedsięwzięciu, którego się podjął.

A kiedy już skończył swoje modlitwy, rozejrzał się Roderyk za ulicą, przy której mieszkali miejscowi Żydzi. Znalazł i dom, większy i solidniej zbudowany od innych, z pewnością własność owego Samuela, wspomnianego przez Pannę Nadobną. Domu, na co zwrócił uwagę rycerz, nie zdołały żadne posągi, wymyślne łuki ani kolumnienki w oknach. Bryłę miał prostą, przysadzistą, i po prawdzie nieco przypominał ten zamek, co go sobie Roderyk wcześniej obejrzał. Nie zsiadając z konia zbliżył się do bramy i zastukał pięścią w grube, dębowe deski. Nikt jednak nie raczył się ruszyć na powitanie niespodziewanego gościa, więc rycerz zamienił pięść na obuch długiego topora. I jak to zwykle bywa, im bardziej gospodarz udawał, że nie słyszy stukania, tym głośniej Roderyk domagał się uwagi dla swojej osoby. A że posługiwał się toporem z wielką wprawą, huk zrobił się taki, jakby w bramę waliło dziesięciu ludzi z taranem. Otworzyło się wreszcie małe okienko za żelazną kratą i jakiś głos mało uprzejmy zaapytał, czego sobie rycerz życzy. A rycerz życzył sobie widzenia z kupcem

Samuelem, więc po dłuższej chwili, wypełnionej jakimiś szeptami i oznakami wyraźnego poruszenia, jakie starano się ukryć, otwarto wreszcie przez Roderykiem dębową bramę, a raczej jej połowę, i to tylko trochę.

Miał rycerz ochotę otworzyć ją sobie do reszty kopniakiem, ale pomiarkował się w gniewie, uwiązał konia, odwiesił przy siodle topór i przecisnął się do wnętrza domu. Staął zatem rycerz w prowadzącym na wewnętrzne podwórze kamiennym przedsionku, ciemnym i dość ponurym. Usłyszał, jak za jego plecami zatraskują bramę, ale nie przejął się tym zbyt. A kiedy po chwili oczy rycerza przywykły do mroku, dostrzegł trzech pacholków z drewnianymi pałkami, dowodzonych przez rostełgo, bogato odzianego młodzieńca o wyniosłej postaci i równie wyniosłej minie, przepowiadającej niechybnie zbliżającą się awanturę. Lecz zanim ktoś uczynił pierwszy nieprzyjazny gest, rycerz usłyszał głos jakby mu znajomy.

– Jakubie, synu Samuela, ty opuść tę pałę.

Młodzieniec, do którego skierowano te rozsądne słowa, odwrócił głowę, ale najwyraźniej nie miał zamiaru usłuchać dobrej rady.

– Jakubie, synu Samuela, ja ci mówię, ty opuść tę pałę – głos stał się bardziej dobitny – bo jak ja znam tego goja, to zanim ty tą pałą machniesz, to ona się złamie na twoich plecach.

Zagadkowa przepowiednia nieco zbiła z tropu młodzieńca. Jakub syn Samuela chwycił pałkę w sposób jakby mniej bojowy, starając się przy tym nie uchybić swojej nieco nadszarpniętej dumie. Ale zanim zdążył odchrząknąć i ułożyć jakieś mądre zdanie, z cienia wyłoniła się kolejna postać. Był to kupiec postawy niemal książęcej, w bogatej szacie ozdobionej pysznym kołnierzem z bobrzego futra, lat mniej więcej czterdziestu, z lśniącą czarną brodą. Jeśli ustępował Roderykowi dostojnością, to tylko rozmiarem brzucha, patrzył więc na rycerza bez lęku, i chyba nie znalazłby się w całej słodkiej Francji inny Żyd, co tak śmiało spoglądałby rycerzowi w oczy. A dzielny Roderyk, robiąc groźną minę, podszedł do Izaaka (bo on właśnie był posłańcem, który przybył z Hiszpanii z listem w sprawie okupu za dobrego rycerza Roberta) na odległość miecza i przemówił w te słowa:

– A odkąd to Izaaku pochodzisz z Toledo, bo głowę dałbym sobie uciąć, że kiedyś cię ostatni raz widział, mieniłeś się Izaakiem z Lyonu.

Na co dość chłodno odparł kupiec Izaak:

– Dla nas, ludzi bez ojczyzny, domem musi być cały świat. Wczoraj w Lyonie, dziś w Toledo, jutro, kto wie, może w Trebizondzie znajdę dach nad głową.

– Nie oskarżaj mnie Izaakowi o coś, czegom nigdy nie uczynił. I za prawdę, nic a nic nie cieszysz się na mój widok? – zapytał rycerz.

– Ależ dobry rycerzu, radość moja jest tak wielka, że boję się, by z jej powodu nie pękło mi serce – odparł kupiec z miną grabarza. – I z pewnością – pociągnął dalej swój wywód – widzieć cię tutaj to jakby mieć pewność, że gościńce wokół miasta Auzon bardzo są bezpieczne.

Zaśmiał się rycerz, bo obrazić człowieka tak, by ten nie miał powodów do obrazu, to niemała sztuka. Po czym wyciągnął prawicę i uściśnął dłoń Izaaka, twardszą, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, mocno i szczerze. A Izaak odwzajemnił uścisk, i wciąż trzymając dłoń rycerza, zwrócił się do młodzieńca:

– Pędź, Jakubie, do ojca i powiedz, że zawitał w jego domu gość wyjątkowy. Niech sługi szykują wieczerzę, a ugośćcie go wszystkim, co najlepsze w tym domu, bo wszedł w wasze progi Roderyk, rycerz dzielny i sławny ze swej sprawiedliwości. Powiedz też matce i siostrom, żeby niczego się nie obawiały, bo rycerz Roderyk nigdy nie skrzywdził żadnego uczciwego człowieka.

Aż się zaczerwienił rycerz słysząc, co wygaduje kupiec Izaak, wrócił więc zatroszczyć się o Peloponidesa, którego wprowadził przez otwartą już szerzej bramę, rozkulbaczył w stajni i sam nakarmił i napił, bo jego dzielny wierzchowiec miał tę przywarę, że nikomu innemu nie pozwalał się dotknąć.

Jeśli dziwi Cię, Czytelniku, ta niezwykła komitywa pomiędzy żydowskim kupcem a chrześcijańskim rycerzem, pozwól że opowiem, w jakich to okolicznościach splotły się po raz pierwszy drogi tych dwóch ludzi.

Opowieść o tym, jak rycerz Roderyk pokonał sławnego zbója Clavę

Było to kilka lat przed opowiedzianymi wyżej wydarzeniami. Rycerz Roderyk wędrował wtedy wzdłuż wybrzeża Ligurii, ciesząc się słońcem, zapachem morza, harmonią brył wspaniałych budowli, świetną kuchnią

i niezwykłą urodą miejscowych dziewcząt, przyglądających się może nieco zbyt śmiało przybyszowi z dalekich stron. Nieopodal miejsca, gdzie wiele lat później wybudowano słynną twierdzę w Sarzanie, porzucił rycerz wybrzeże i skręcił ku północy, wjeżdżając pomiędzy zbocza liguryjskich Alp. Tu chłodniejsze powietrze dało mu odpocząć od nadmorskich upałów, widoki serce radowały, a miejscowych zbójów jak na lekarstwo, zatem dzień, jaki musiał poświęcić na przejście przez góry, uznał rycerz za niezwykle udany. I choć wiedział, że te szczyty zwano Alpami raczej z uprzejmości wobec mieszkańców niż dla ich niedostępności, poklepując Peloponidesa po grzbiecie uraczył go tym komplementem, że lepiej się tu sprawuje niż słonie Hannibala.

Zjeżdżając powoli w dolinę zaczął rycerz zagłębiać się w gęsty, ciemny las. A że słońce było już nisko, rozglądał się za jakimś zajazdem, a jeszcze lepiej zamkiem lub klasztorem, który zgodnie z obyczajem udzieliłby mu gościny, tym miłszej, że bezpłatnej. Skromne zapasy, jakie zabrał ze sobą Roderyk w drogę, skurczyły się znacznie, a i nocleg na wilgotnej trawie nie za bardzo mu się uśmiechał. Nie tracił jednak pogody ducha, w siodle siedział prosto, kopię z białym proporcem wparłszy w strzemień, i każdy, kto by go zobaczył na tej drodze, musiałby przyznać, że ma oto przed sobą prawdziwy przykład pięknej rycerskiej postawy.

Droga, choć schodząca ku nizinie, ciągnęła się jeszcze długą serpentiną pomiędzy skałami, niewiele zatem można było przed sobą zobaczyć. I za jednym z jej zakrętów wyjechał dzielny rycerz Roderyk prosto na taką oto scenę:

Na trakcie obok uwiązanej do drzewa mulicy stał niemłody już mężczyzna, jak można było wnosić po stroju – żydowski kupiec, i to raczej z tych bogatych. Stał, patrząc na wierzchołki wysokich pinii, w pozycji dość niewygodnej, bo pod gardłem miał ostrze szerokiego tasaka, którego rękojeść trzymał wielki, żyłasty i całkiem łysy zbój. Byłby go Roderyk powalił kopią w pył gościńca, ale zbój ten miał jeszcze dwóch kamratów, a jeden z nich dzierżył złożoną do strzału kuszę, wymierzoną w pierś rycerza.

Zbój z tasakiem, herszt najwyraźniej, darował nieszczęsnemu Żydowi jeszcze chwilę życia i zwrócił się, dodajmy dość uprzejmie, do rycerza:

– Szlachetny panie, pozwól że spytam w imieniu towarzystwa, jakie są twe zamiary? Czy zechcesz może pojechać w swoją stronę, puszczając

w niepamięć spotkanie z nami, czy też zgodnie ze zwyczajem tych pomyślników, co to wtrącają opancerzone nosy w nieswoje sprawy, spróbujesz nam udzielać lekcji praw obowiązujących w tym oto hrabstwie?

Rycerz popatrzył na zbója złym okiem, ale odpowiedział najukładniej, jak umiał:

– Jako prawy rycerz zwykle biorę w obronę dobrych chrześcijan, a tych jakoś tu nie widzę. Ale, mój nie-dobry człowieku, nie zdarzyło się jeszcze w moim długim życiu, żebym przed kimś umykał. A jeśli miałbym kiedyś wpaść w ten zajęczy obyczaj, wolałbym raczej, żeby spędził mnie z pola równy mi pasowany szlachcic, a nie trzech obwiesiów, którzy jeśli nie skończą na szubienicy, to tylko dlatego, że ich przeznaczeniem jest wiosło na galerze.

– Skoro już nam wyjaśniłeś swoje intencje, szlachetny panie, pozwól że pozbawimy cię kopii i miecza, abyśmy mogli w spokoju powrócić do naszych interesów – tu zbój wykonał niewielki, ale jednoznaczny gest, wskazując na kusznika, stojącego nieruchomo jak święty z kamienia, z bronią wciąż wycelowaną w rycerza.

Roderyk, chcąc nie chcąc, uniósł kopię znad strzemięcia i wbił tępy koniec w ziemię. Zanim jednak doszło do drażliwej kwestii oddania miecza, wydarzyło się coś, czego nikt się nie spodziewał. Żydowski kupiec, uwolniony na chwilę spod uwagi swoich prześladowców, postanowił, niczym ta mysz, co ugryzła w palec Spartiatę Brazydasa, walczyć o swe życie. Zebrawszy się na odwagę, kopnął z całej siły w piszczel tysego zbója. Ten wrzasnął z bólu i zamachnął się tasakiem, ale ostrze wbiło się w pień, bo kupiec całkiem rozsądnie wziął nogi za pas, zostawiając jak najśluszniej bitwę tym, co się na niej znali.

Nasz bohater miał zwyczaj zabawiać się z przyjaciółmi wesołą grą w globurum, do której używało się w tamtych czasach ciężkich drewnianych kul nabijanych żelaznymi gwoździami. I taką kulę miał rycerz Roderyk w rękawie. Kiedy kusznik, dotąd nieporuszony, odwrócił wzrok by zobaczyć, co się dzieje, Roderyk przerzucił kulę do prawej ręki i cisnął nią w strzelca. I przyznać trzeba, że nigdy jeszcze Roderyk grając w globurum nie trafił tak pięknie, że gdyby nie lisia czapa, kusznik niechybnie straciłby życie. Tak czy inaczej bełt poleciał w niebo, a nieszczęsny strzelec osunął się na kolana, nie wiedząc nie tylko jakiego to świętego czcimy tego

dnia, ale nawet i tego, jak go wołała rodzona matka. Zbój drugi, chłop na schwał, pchnął w Roderykową pierś grot długiej włóczni, ale zanim ta doszła celu, rycerz złapał za drzewce, przycisnął do siebie i kolanami skrzył w miejscu wierzchowca. Liczył na to, że albo zbój puści, albo drzewce trzaśnie, ale zbój, bardziej widać mocny w barach niż w rozumie, ucapił się włóczni z całych sił. Jak powiadają, Archimedes potrafiłby poruszyć ziemię mając punkt oparcia, na tej samej zasadzie poruszył Roderyk zbojem, a ten niczym wystrzelony z katapulty wleciał z krzykiem pomiędzy drzewa, oddajmy mu jednak sprawiedliwość, cały czas trzymając w rękach włócznię, z którą tak bardzo nie chciał się rozstać. Zbój trzeci, stojący trochę krzywo na bolącej nodze, nawet nie próbował podnieść broni przeciw rycerzowi, słusznie rozumując, że opór tylko rozeźli zwycięzcę. Postanowił zatem odwołać się do swojej erudycji:

– Fortuna sprzyja dzielnym, słusznie mówili Rzymianie. A ja znów muszę zadać ci, szlachetny panie, pytanie o twe intencje wobec nas, pokonanych. Czy obyczajem dobrych rycerzy okażesz nam łaskę, czy też może twa dłoń podobna błyskawicy przyniesie nam ostateczną zgubę, nie dając nawet nadziei na spowiedź i pokutę przed straszną śmiercią, w obliczu której, jak mniemam, stoimy?

– Nie wiem, gdzieś ty się zbójcu uczył wymowy, ale mielesz ozorem jak wiejski kauzyperda – powiedział Roderyk. – Powiniennem was na sznurze zaprowadzić do najbliższego kasztelana, aby on wysłuchał waszej spowiedzi i wyznaczył stosowną pokutę, skoro się jej domagacie. Ale niepiękna to rzecz rycerz zajmujący się na pachółka w trybunale. Zbierajcie się zatem, pókim dobry, ale pilnuj się zbójcu, żebyś mi więcej w drogę nie wszedł.

Zebrał więc łysy zbój swoich kompanionów, obitych i rozbrojonych, i nie czekając aż rycerz zmieni zdanie, dał wraz z nimi nogę w las. A Roderyk ostrzem kopii nadział kuszę, podniósł ją, przeciął konopną cięciwę, łuk z rogu połamał obuchem topora, a łożę i orzech rozbił o skałę. I niech nas nie dziwi ta zaciętość, bo jak każdy rycerz miał Roderyk kuszę za wymysł diabła, dający byle chamowi nadzieję na pokonanie nawet tak szlachetnego pana jak on sam, a skierowanie jej przeciw chrześcijaninowi, zgodnie z nauką Kościoła, uważał za grzech ciężki.

A kiedy już skończył rycerz wymierzać sprawiedliwość podłej masynerii, z lasu wychynął ostrożnie kupiec, czujnie sprawdzając, czy nie-

bezpieczeństwo minęło. Dokonawszy oględzin pobojuwiska, wyszedł na drogę i zaczął przyglądać się swojemu wybawcy jakby z pewną obawą, do której, dodajmy, w tych czasach pełnych przesądów miał prawo.

– Czyżbyś kupcze mówił w języku, co nie pozwala ci wyrazić wdzięczności za uratowanie życia? – spytał rycerz znów dumnie wyprostowany na końskim grzbiecie.

– Język mój, panie rycerzu, pozwala mi wyrazić niejedno, tylko nie wiem, czy aby na pewno życzysz sobie moich podziękowań. Nie jestem przecież sprawiedliwym chrześcijaninem, którego wzięłbyś z ochotą w obronę – odpowiedział Żyd. – Może jesteś, panie, jak ten miłosierny Samarytanin, ale tym razem walczyłeś chyba w swojej, a nie mojej obronie.

– Słusznie, Żydzie – odparł rozeźlony rycerz. – A skoro nie potrzebowałeś mojej pomocy, to i niepotrzebnie się wtrącałem. Z pewnością zechcesz też dla większej chwały sam pozostać na placu boju, gdzie odniosłeś tak znakomite zwycięstwo. Tylko rozpał na noc ogień, żeby wilki w tych lasach mogły cię dla własnego dobra omijać z daleka.

Co powiedziawszy, rycerz Roderyk wparł na powrót kopię w strzemię i nie oglądając się za siebie, wolno ruszył w dalszą drogę. Nie ujechał jednak nawet pięciu kroków, a już usłyszał człapanie poganianej mulicy i głos jakby bardziej ugodowy:

– Ależ panie rycerzu, ten plac bitewny pozostawię chętnie godniejszym od siebie. A tymczasem, jeśli pozwolicie, ruszę waszym śladem, bo przypadkiem moja droga prowadzi w tę samą stronę.

Brak odpowiedzi uznał kupiec za zgodę, przybliżył się zatem nieco i zagadał znowu:

– I wybaczone, panie, że wam zrazu nie podziękowałem jak trzeba, ale zrozumcie, zaglądacie zapewne śmierci w oczy co dnia, ale w mojej profesji nieczęsto przykładają mi ostrze go gardła, choć pewnie niejedni by chciał.

– Prawdę mówiąc – odezwał się rycerz po dłuższej chwili – nie masz mi kupcze za co dziękować. I przyznać muszę, że gdyby nie twoja dywersja, nie wiem, jakby się cała sprawa skończyć mogła.

Ośmielony nieco tą niespodziewaną pochwałą swej dzielności kupiec popędził długouchego wierzchowca i trzymając się już niewiele z tyłu, po raz pierwszy przyjrzał się dokładnie rycerzowi. A ponieważ z racji wy-

konywanego zawodu znał się na ludziach, po chwili namysłu doszedł do wniosku, że nic mu ze strony tego srogiego wojownika nie grozi.

– Wybaczcie jeszcze raz śmiałość, panie. Czy mógłbym poznać wasze imię? Bo choć żaden ze mnie trubadur, to przysięgam na moją brodę, że gdziekolwiek zajadę, opowiem o dzielnym rycerzu, co tak gracko poradził sobie z tą okrutną bandą.

– Chętnie ci się przedstawię, kupcze, pod tym jednak warunkiem, że o tym nie opowiesz.

– Taki to wielki wstyd dla rycerza przyznać się do tego, że Żydowi życie ratował? – zachnął się kupiec.

– Jak cię zwa, kupcze? – spytał rycerz.

– Znają mnie jako Izaaka z Lyonu, panie rycerzu – odpowiedział Żyd, starając się pokazać, że dumny jest ze swego imienia.

– Posłuchaj zatem Izaak z Lyonu, co powiem ci ja, Roderyk z białą tarczą. Rycerz nie powinien czynić niczego, czego by się wstydził. Jeśli zatem stanąłem, choć przypadkiem, w twojej obronie, to nie żałuję, tym bardziej że myślę, iż postąpiłem słusznie. Jednak, jak mówi Pismo, „gdy ty czynisz jałmużnę, niech nie wie lewica twoja, co czyni prawica twoja”. Bo czyn, nawet szlachetny, popełniony dla sławy niewiele się różni od tego, jaki popełnia się z chęci zysku. Niech zatem to, co wydarzyło się na tej drodze, zostanie między nami, moim destierem – tu czule rycerz poklepał po szyi Peloponidesa – twoim dzielnym wierzchowcem i tymi trzema zbójami, co to raczej prędzej niż później dyndać będą pospołu na murowanej szubienicy.

I tak jechali dłuższą chwilę w milczeniu. Roderyk, bo powiedział wszystko, co chciał powiedzieć, kupiec – bo zastanawiał się, jak na tę przemowę odpowiedzieć. Góry zaczął powoli zasłaniać mrok. Żadnej austerii, miasta, kasztelu ani choćby wiejskiej chaty nie mogli wędrowcy dostrzec, zanosilo się zatem na nocleg w lesie. Znalazł więc rycerz odpowiednie miejsce i rozpalil ogień, dajacy nie tylko ciepło ciału, ale i radość oczom. Ponieważ inne obowiązywały ich przepisy religijne, nie podzielili się jadłem i zjedli na wieczерzę to, co tam mieli jeszcze w swoich sakwach. A że obaj wieźli również godne napitki, rycerz miód z północy, a kupiec czerwone wino z południa, rozwiązały się im języki. I w takich to okolicznościach kupiec Izaak opowiedział, co też przydarzyło mu się tego dnia na drodze.